

RENATA CZARNECKA

POŻEGNANIE Z OJCZYZNĄ

Oto zaczyna się niespokojny
rok 1793...

LIRA
WYDAWNICTWO

POŻEGNANIE
Z OJCZYZNĄ

RENATA CZARNECKA

POŻEGNANIE
Z OJCZYZNĄ

LIRA
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2024

ISBN: 978-83-67915-60-1

PROLOG

WARSZAWA, LISTOPAD 1794 ROKU

— Ludzie! Ludzie! Suworow idzie!! Ryglujcie drzwi! Uciekajcie na piętra! Ratujcie się!!

Przerażający krzyk zadrgał w lodowatym porannym powietrzu i wpadł w łomot końskich kopyt.

Odpowiedziały mu turkoczące w pędzie koła umykających powozów, a także krzyki i płacz dzieci mieszające się z wrzaskiem ptactwa, które gwałtownie poderwało się do lotu i czarną chmurą zakotłowało nad miastem, by krążyć nad nim złowrogo i przeraźliwym krakaniem potęgować trwogę. Odkąd spłonęła pobliska Praga, a jej mieszkańcy zostali wycięci w pień, warszawiacy każdego dnia spoglądali na drugą stronę Wisły w oczekiwaniu na wjazd zwycięskiego wodza, który przemarsz swoich wojsk znaczył krwią wroga i pożogą. Ludzie w strachu siedzieli po domach, oczekując wieści, co spotka Warszawę. Tymczasem jeździec, który galopował od placu Zamkowego w kierunku Nowego Świata, przemknął jak błyskawica, siejąc śmiertelną ciszę. Minął jakiś kwadrans, gdy znowu rozbrzmiał tętent końskich kopyt i na Krakowskim Przedmieściu pokazała się setka Kozaków. Część z nich w okamgnieniu obstawiała ulice i zaułki. Pozostali podjeżdżali konno pod drzwi kamienic oraz pałaców i uderzali w nie bagnetami, jakby chcieli sprawdzić, czy w myśl rozkazu ich wodza mieszkańcy zaryglowali drzwi, to znowu zaglądali w okna na parterze jak wilcy wypatrujący zwierzyny. Zdawało się, że miasto w jednej chwili wymarło, gdy naraz

od Podwalnej* dał się słyszeć rytmiczny dźwięk uderzeń. Był jeszcze tak delikatny i cichy, że tylko wprawne ucho mogło go wyłowić, lecz z każdą sekundą stawał się donośniejszy, pewniejszy i coraz bardziej budzący trwogę. To grały wojskowe werble. Naraz w ulicę zaczęła wpełzać sunąca nisko nad ziemią chmura, która kierowała się wprost ku sercu miasta i niebawem na placu Zamkowym pojawiły się pułki Kozaków, którym przewodzili oficerowie. Nad oddziałami powiewały pułkowe chorągwie. Pierwsza kolumna wojska licząca kilka tysięcy żołnierzy wlewała się rytmicznie w Krakowskie Przedmieście, rozsiewając odór krwi, dymu i spalenizny. Drzwi przyulicznych domów i pałaców zgodnie z rozkazem Suworowa były zamknięte i zaryglowane na wszystkie spusty, a okna na najniższych kondygnacjach szczelnie zasłonięte, żeby wzrok żołnierzy nawet przypadkiem nie wślizgnął się do wnętrza. Kozacy, uzbrojeni w broń palną, odkryte szable oraz piki, jechali na małych wierzchowcach, ciągnąc za sobą juczne konie z furażem i rzucając butne, ciekawskie spojrzenia, jakby chcieli przeniknąć mury i rozeznac, jakie łupy kryją te ogromne pałace polskich buntowników. Z najwyższych pięter przyglądali się im warszawiaczy, a srogość wypisana na twarzach najeźdźców budziła w nich strach. Tymczasem oni łakomym okiem spoglądali na kobiety, a chmurnym obrzucali swojego wodza, nienawidząc go za to, że wzbronił im takich łupów. Mieli jeszcze nadzieję, że mimo rozkazu feldmarszałka Suworowa ktoś ukaże się na parterze, a to oznaczałoby przyzwolenie na grabież. Ale zewsząd wyzierały spokój i strach. Niepozornej postury,

* Dzisiaj ulica Podwale.

mały i krępy Aleksander Wasiliewicz Suworow jechał na pstrym koniu, prowadząc pierwszą kolumnę wojska. To rzucił dumnym spojrzeniem przed siebie, to znowu oglądał się do tyłu na swoich ludzi, sam ubrany w prosty żołnierski mundur. Miał powód do dumy. Oto zdławił rewolucję, ugasił pożar, który wiosną tego roku ogarnął umysły szalonych Polaków. Zwyciężył, dzięki czemu teraz wkroczył do Warszawy w najwyższej randze — feldmarszałka.

— Pułkowniku Naryszkin! — zawołał Suworow schrypniętym głosem i kątem oka spojrzął za siebie.

Oficer o poszarzałej, zmęczonej twarzy, z kilkudniowym zarostem natychmiast popędził konia i zrównał się z wodzem.

— Jak ludzie? Spokojni? — dopytywał Suworow.

— Tak, panie feldmarszałku — zapewnił pułkownik.

— Pilnujcie ich! — przestrzegł go Aleksander Wasiliewicz. — Jak mi się który rzuci do okien, odpowiecie własną głową.

Dmitrij Naryszkin poczuł groźbę tych słów. To właśnie jego ludzie najgłośniej krzyczeli w dzień poprzedzający wjazd do Warszawy, mając za złe naczelnemu wodzowi, że nie pozwala im złupić warszawiaków.

— Tak jest — odparł prędko Naryszkin, dobrze wiedząc, że to nie żarty ani słowa rzucone na wiatr, bowiem Suworow był trzeźwy.

Tymczasem w głowie feldmarszałka kołatały myśli. Oto Warszawa, jeszcze tak niedawno dumna i pewna zwycięstwa, dziś korzy się przed nim i godzi na wszystkie jego warunki, byle uniknąć losu Pragi. Tam, po drugiej stronie rzeki, na przedmieściach, Suworow pozostawił

kilkanaście tysięcy żołnierzy, którym kazał koczować i czekać na rozkazy. Ze zgryzoty, że musieli tam zostać, zamiast iść na Warszawę, by wziąć na niej odwet i się obłowić, popili się na umór.

— Dwadzieścia tysięcy ludzkich istnień! — grzmiał Suworow, mając w pamięci ofiary rzezi na Pradze. — Mało wam łupów?! Chcecie więcej?! Po moim trupie!!

Zagroził, że jeśli któryś w czasie przemarszu wojsk przez Warszawę rzuci się z bagnetem do okien, to strzeli mu w łeb. Spotulnieli przed tym małym człowiekiem, choć znienawidzili go i odtąd tylko czekali okazji, by rzucić się do grabieży. Naryszkin zawrócił do swojego pułku. W oddali przed sobą miał pałac Czetwertyńskich. To ożywiło wspomnienia i jakimś ciepłem rozlało się w jego sercu. Gdy przejeżdżał koło pałacu, wbił wzrok w okna na parterze, lecz te były szczelnie zasłonięte, uniósł więc głowę i spojrzał w okiennice na piętrze. Zdawało mu się, że za firanką stoi jakaś kobieta.

— Marina... — szepnął, a w oczach zakręciły mu się łzy.

ROZDZIAŁ 1

Stracone nadzieje

W styczniu 1793 roku mrozy mocno dokuczyły warszawiakom, dlatego z niecierpliwością czekano na wiosnę. Miała ona również zrzucić z mieszkańców jarzmo utrzymania rosyjskiego wojska, które już w grudniu zeszłego roku, po przegranej wojnie Polski z Rosją, zapchało miasto. Doszło

do tego, że kwaterowano wojska carskie w magnackich pałacach. Soldaci wchodzili do domów arystokratów jak do siebie i tylko oficerowie trzymali w ryzach tę niewyżytą sforę. Postępująca drożyzna i brak pracy sprawiały, że w Warszawie przybywało nędzarzy. Wielu z nich, by przeżyć, trudniło się kradzieżą, żebractwem lub sutenerstwem. Na brak zajęcia nie narzekały prostytutki, na które żołdactwo spoglądało łakomym okiem. Domy schadzek najgorszego sortu, których najwięcej znajdowało się przy murach miejskich, pełne były Rosjan, natomiast oficerowie chętnie odwiedzali przybytki rozkoszy przy ulicach Trębackiej i Freta. Z tygodnia na tydzień Warszawie zagrażała coraz bardziej druga fala — choroba przenoszona przez prostytutki i żołnierzy, tutaj zwana warszawską. Byli jeszcze Żydzi, którzy dzięki głowie do interesów i na wojsku rosyjskim mieli zarobek. Wielu z nich udzielało drobnych albo większych pożyczek oficerom i zaopatrywało w żywność pułki, konkurując z rosyjskimi markietanami. Kto chciał żyć, musiał bić czołem przed obcymi, nadszka kiwać im i choćby udawać sojusznika imperatorowej.

Na Krakowskim Przedmieściu wstał pogodny dzień. Ruch tutaj jak zwykle zaczynał się o świtaniu, kiedy otwierano liczne sklepy, a drobni handlarze rozstawiali swoje kramy, których najwięcej było wokół kolumny Zygmunta. Gwar przeróżnych języków: polskiego, francuskiego, jidysz i rosyjskiego mieszał się ze skrzypieniem fiaków* i karet, tętentem końskich kopyt i muzyką katarzyniarzy. Krakowskie Przedmieście było dzielnicą magnackich pałaców i składów handlowych, z których

* Powóz konny wynajmowany na kursy.

najpopularniejszym był skład wojewody kijowskiego Prota Potockiego. Najmodniejsze damy zaopatrywały się tam w najlepsze pończochy i tkaniny.

Naraz w uliczny gwar wpadło rżenie koni. Przy placu Zamkowym pojawiło się kilkudziesięciu jeźdźców, którym przewodził oficer. Byli to Kozacy o butnym spojrzeniu przekrwionych oczu, w długich, ciemnoniebieskich kaftanach i futrzanych czapkach, z pistoletami u boku i obnażonymi szablami. Warszawiacy w popłochu ustępowali im z drogi, dając przejazd ku Krakowskiemu Przedmieściu, przez które kawalkada przemknęła niczym burza, po czym zatrzymała się przed pałacem Potockich. Jeden z Kozaków zeskoczył z konia i wbiegł na schody. Uderzył w drzwi lufą pistoletu, aż donośny dźwięk rozerwał powietrze. Otworzył mu lokaj, który na widok intruza pobladł i natychmiast się cofnął, gotów zamknąć mu drzwi przed nosem, lecz Kozak wepchnął go do środka i nogą zastawił podwoje. Na to tylko czekał oficer, który wraz z resztą swych ludzi pewnie wkroczył do środka, a następnie bacznie się rozejrzał. Po chwili dostrzegł na schodach prowadzących na piętro starą kobiecinę. Była to Katarzyna Kossakowska, z domu Potocka, ciotka hrabiego Ignacego Potockiego, wdowa po kasztelanie kamieńskim. Stanąwszy w świetle budzącego się dnia, w ciemnej sukni, wysoka i całkiem posiwiąła, hardo wpatrywała się w rosyjskiego oficera, który zbliżył się, skłonił głowę i powiedział po rosyjsku:

— *Madame*, stoi przed panią pułkownik Aleksiej Iwanowicz Markow. Przyproceedziłem wojsko do kwaterunku — trzydziestu ośmiu ludzi.

Pani Kossakowska spieszenie zbierała myśli. Wreszcie spojrziała na młodego oficera i odparła po polsku:

— To pomyłka, oficerze, pan jesteś w pałacu hrabiego Ignacego Potockiego.

— Buntownika Potockiego — powtórzył twardo.

Gospodyni dostrzegła jego ponure spojrzenie.

— Oto rozkaz rozkwaterowania wojska i jego zaprowiantowania — powiedział, po czym wyciągnął bilet i podał kasztelanowej, która z mocnym biciem serca odczytała go w milczeniu. Dokument był wystawiony przez Deputację Kwaterniczą, przez którą całe miasto zapchane było rosyjskim wojskiem. Z tego, co wiadomo było pani Kossakowskiej, nawet księżna Branicka, siostra króla, utrzymywała w swoim pałacu na Podwalnej pięćdziesięciu Rosjan.

Szelest dochodzący z piętra zmącił myśli kasztelanowej, która spojrzała w tamtym kierunku. Wysoko, na antresoli, pojawiła się Krystyna, córka hrabiego Potockiego, szesnastoletnia panna o kasztanowych, rozpuszczonych włosach, jakby dopiero wstała z łóżka i nie zdążyła ich upiąć. Z lękiem przyglądała się nieproszonym gościom, a jej osoba nie umknęła uwagi Markowa i stojących za nim Kozaków, którzy wlepili w nią łakome spojrzenia. Tymczasem pułkownik skinął głową pannie i dopiero słowa pani Kossakowskiej odwróciły jego uwagę od młodej damy.

— Proszę poczekać, oficerze, lokaj zaprowadzi pana na kwatery — powiedziała, aż powiało chłodem. Wiedziała, że opór może jedynie rozsierzdzić żołdactwo, dla którego nie było świętości.

Niebawem Kozacy zajęli jedno ze skrzydeł pałacu wychodzące na ulicę, natomiast koniom zrobiono miejsce w pałacowej stajni. Markow zajął przestronny pokój na

piętrze. Gdy rozgościł się w nowej kwaterze, przyszedł Danyło, żeby donieść o rozlokowaniu ludzi.

— Dziś nie wychylajcie nosa z pałacu, jutro wydam rozkazy — powiedział pułkownik, ale Danyło dalej stał na baczność, jakby na coś czekał. Markow spojrział na jego zarośniętą i pooraną bliznami gębę, po czym spytał:

— No, co tam jeszcze, Danyło?

— Pułkowniku, ludzie chcą jeść.

— Pani Kossakowska nas nakarmi — powiedział Markow.

— Kasztelanowa opuściła pałac podczas zakwaterowywania naszych ludzi. Sami możemy to zrobić, pułkowniku, tylko czekamy rozkazu, żeby się rozgościć — rzekł z zapalem i wykrzywił usta w chytrym, szczerbatym uśmiechu.

— Nie! — uciął pułkownik. — Poczekamy na kasztelanową, choćby do nocy. A ta młoda dama, którą widzieliśmy na schodach, została?

— Nie, pojechała razem z tą starą.

— A więc obie uciekły... Ale wrócą. — Markow był tego pewien.

— Pułkowniku, jak nie prowiant, to choćby wódki się napić. — Kozak zmącił mu myśli i oblizał wargi na samą myśl o mocnym trunku.

— Wódki?? — powtórzył oficer. — Gorzałką czuć od was w całym pałacu, wypłoszyliście obie damy i jeszcze wam mało?

Kozak zamilkł.

— Odmaszerować! — wrzasnął Markow, a gdy został sam, rzucił się na łóżko i zaczął rozmyślać. Udało mu się nająć dobrą kwaterę w mieście, wygodną, blisko

Zamku Królewskiego i niedaleko rosyjskiej ambasady. Teraz czekał już tylko rozkazów generała Kochowskiego, pod którym służył.

Tymczasem Katarzyna Kossakowska z Krystyną zmierzały do pałacu księstwa Czartoryskich, na Senatorską. Właśnie mijaly ulicę Kozią, wzdłuż której aż do Senatorskiej rozciągały się przestronne ogrody, teraz uśpione pod śnieżną pierzyną, i dalej rezydencja księcia prymasa. Izabela Czartoryska przyjęła gości serdecznie, choć nieco zaskoczona tą niezapowiedzianą wizytą, za to z uśmiechem, którego tym razem kasztelanowa nie odwzajemniła, lecz od razu opowiedziała przyjaciółce, jakie nieszczęście je dziś spotkało: musiała przyjąć na kwatery kilkudziesięciu Kozaków.

— I pomyśleć, że przyjechałam stado baranów pod dach domu biednego Ignasia... — ubolewała gorzko.

— Nie mogłaś odmówić, Katarzyno, ale trzeba mieć nadzieję, że wiosną znaczna część rosyjskich wojsk opuści Warszawę i rozkwateruje się na prowincji — odparła księżna Czartoryska, chcąc ją pocieszyć.

Katarzyna westchnęła ciężko, jakby te słowa wcale jej nie pomogły, i zaraz, żeby zapomnieć o przykrościach, księżna Izabela zaproponowała grę w mariasza, a niebawem zeszła do nich Maria Anna, córka księżnej, będąca w trakcie rozwodu z księciem Wirtembergii Ludwikiem, który w wojnie z Rosją zdradził Polskę i przeszedł na stronę wroga. Damy grały do wieczora, zapominając o upływie czasu. Dopiero gdy wybijała siódma, kasztelanowa wraz z Krystyną zebrały się do powrotu, choć czyniły to niechętnie, wiedząc, że w pałacu mają nieproszonych gości.

Tymczasem Markow, znudzony oczekiwaniem na powrót uciekinierek, uciął sobie drzemkę. Obudził go głód. Wezwał Danyłę i dopytywał, czy wróciła kasztelanowa. Okazało się, że ciągle jej nie ma, choć za oknem już dawno zapadł zmrok.

— Gdy wróci, natychmiast chcę o tym wiedzieć — zaznaczył oficer, po czym podszedł do lustra zawieszonogo nad komodą, na której stała misa z wodą do mycia. Nabrał wody w dłonie i ochlapał sobie twarz.

Człowieku, jak ty wyglądasz? — zdawały się pytać jego oczy. — Tu nie dzikie stepy, tutaj nie spojrz na ciebie żadna dama, tylko dziwki same będą pchały ci się w ręce, jak muchy do lepu, skoro tylko poczną ruble i dukaty.

Już sięgał po brzytwę, kiedy znów wpadł Danyło, wielce uradowany, z uśmiechniętą gębą, donosząc, że wróciła gospodyni. Już chciał natychmiast bieć do niej i dopytywać o prowiant.

— Czekaj! — ryknął Markow, zawracając go w pół drogi. — Sama przyniesie.

— A jak nie? Z głodu pomrzemy — odparł Danyło.

— O to się nie martw. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby pułkownik Markow dał ukrzywdzić swoich ludzi. A teraz, powiedz mi, Danyło, kiedy ostatni raz widziałeś swoją gębę w lustrze?

Kozak wytrzeszczył oczy, nie rozumiejąc ani na jotę pytania.

— Nie wiesz, bo i do czego ci lustro — rzucił z drwiną Markow. — To spójrz! Czy tak wygląda carski żołnierz?

Kozak wbił wypłoszone, ponure spojrzenie w swoje lustrzane odbicie.

— Nie, Danyło, tak nie wygląda żołnierz pułku Kozaków, ale zarośnięta małpa. Ogolić się i umyć! Wszyscy!

Splószonego Danyło uciekł z pokoju. Minęła godzina, dla Aleksieja długa, bo beczynna. Ogolony i umyty, leżał na łóżku, a ssanie w żołądku stało się tak dokuczliwe, że nie mógł zmrużyć oka, lecz naraz donośne pukanie do drzwi zmąciło ciszę. Okazało się, że to kamerdyner, który przyniósł chleb i jakąś pieczeń, na której widok ślina pociekła oficerowi. Przełknął ją i kazał postawić tacę, potem odesłał lokaja i usiadł do stołu. Zaspokoiwszy pierwszy głód, zaczął rozmyślać. Liczył na to, że gospodyni zaprosi go na kolację w towarzystwie swoim i młodej damy, która choć jest córką polskiego buntownika, to wartą uwagi, on zaś rad by popatrzeć na jej ładną buzię i zamienić z nią parę słów. Ale pani Kossakowska wyraźnie dała mu odczuć, jak bardzo jego obecność tutaj wraz z Kozakami jest jej niemiła.

ROZDZIAŁ 2

Księżna Radziwiłłowa

Dochodziło południe, gdy w pałacu Radziwiłłów przy Miodowej księżna Helena właśnie zdążyła wstać z łóżka, ubrać się w dezabilkę* i zająć miejsce przed toaletką. Zwykle budziła się wcześniej, lecz teraz, kiedy prawie każdą styczniową noc karnawału spędzała na redutach**, balach

* Poranna, luźna suknia.

** Balle maskowe organizowane w miejscach publicznych.

albo asamblach*, wracała do pałacu grubo po północy, a potem odsypiała noc. Wzrok księżnej kierował się to ku pokojowej, która układała jej włosy, to znów biegł ku białemu pudlowi wylegującemu się na atlasowej pościeli.

— No, już dość — rzekła księżna i machnęła na służącą, po czym podeszła do pupilki i przeczesała jej sierść bursztynowym grzebieniem. Obsypała ją pocałunkami niczym najtroskliwsza matka, szczebiocząc przy tym po francusku jakieś pieśzotliwe słówka. Pukanie do drzwi przerwało czułości. Wszedł kamerdyner, by powiadomić, że generałowa Witt z Petersburga prosi o rozmowę. Gospodyni nie skojarzyła nazwiska, więc dopytała:

— Kto taki? Skąd?

— Generałowa Witt z Petersburga, jaśnie pani.

— Nie znam — odparła, lecz nagle doznała olśnienia, gdyż skojarzyła to nazwisko z nieżyjącym już księciem Potiomkinem. Teraz była pewna, że chodzi o jego kochankę, która kilka dni temu posłała jej bilecik, w którym w istocie anonsowała się z wizytą.

— Prowadź gościa do salonu i przeproś za zwłokę. Biedaczka wymarzyła się, stojąc pod bramą w taki mróz — zakomenderowała Helena.

Służący w mig umknął z pokoju, tymczasem księżna jeszcze raz przejrzała się w lustrze. Zarwana noc odbiła się na jej urodzie, oczy były podkrążone, bez blasku, a cera szarawa. Helena pomyślała, że należy skończyć z nocnym życiem, po czym wzięwszy psa na ręce, zeszła do salonu. Ale w środku nikogo nie było, co oznaczało, że pani Witt jeszcze nie zdążyła tu dotrzeć. Gospodyni minęła okrągły

* Zebranie towarzyskie.

stół nakryty ażurową serwetą oraz kilka wygodnych foteli wyścielonych karmazynowymi poduszkami i zajęła miejsce na wygodnym szeszlunku nakrytym kapą haftowaną połyskującą nicią. Upłynęła ledwo chwila, gdy lokaj zanonsował panią Witt.

Księżna przyjrzała się gościowi uważnie. Generałowa twarz miała piękną, o delikatnie wykrojonych ustach i dużych oczach, spod kapelusza wystawały kosmyki ciemnych włosów. Ubrana była wytwornie i na przekór temu, co dawnej mówiono o jej przeszłości, wyglądała na damę o nie byle jakim pochodzeniu. Helena pamiętała, że parę lat temu kochał się w niej co drugi mężczyzna, a generał Witt chodził dumny jak paw, że ma tak piękną żonę. Rogów przyprawianych mu przez ową piękność nie chciał widzieć do dnia, kiedy Zofia uciekła od niego do księcia Potiomkina. Teraz Helena, ze skrywaną zazdrością, musiała w duchu przyznać, że pani Witt zachowała dawną urodę, a nawet była jeszcze ładniejsza, jakby czas działał na jej korzyść. Tymczasem generałowa miała przed sobą kobietę czterdziestoletnią, o siwych, opadających na ramiona lokach i ciemnych, wesołych oczach. Pani Witt, pamiętając serdeczne przyjęcie księżnej parę lat temu, nie zawahała się odwiedzić ją teraz, kiedy przybyła do Warszawy.

— Witam panią, generałowo — powiedziała gospodyni i uśmiechnąwszy się życzliwie, ucałowała policzki gościa. Zofia, wzruszona serdecznością, zajęła miejsce w fotelu. Księżna usiadła wygodnie na szeszlunku, sadzając obok siebie psa zwanego Katinką. Pudel poczuł wolność, zerwał się z miejsca i skoczywszy na podłogę, obszczekiwał damę z wielkim zapałem, Zofia zaś nie miała odwagi się poruszyć.

— Proszę się nie bać, nie ugryzie, to taka mała bestia, całkiem niegroźna... — rzekła gospodyni do gościa, po czym zagroziła pupilce po francusku: — Bądź grzeczna, bo pani da ci w dupcię, małpiszonie.

Helena schwyciła psa i powróciwszy na szezlong, posadziła go sobie na kolanach, a potem spytała generałową, co ją tu sprowadza, lecz Zofia milczała jak zaklęta, co też wzbudziło w księżnej zakłopotanie.

— Nie mówię dobrze po francusku — wyznała w końcu.

— *Putain*. — Księżna wyraźnie się zmartwiła, lecz zaraz dopytała z uśmiechem: — Ale władza pani rosyjskim? Była pani w Petersburgu. Możemy mówić po polsku, ale to takie prowincjonalne, *passé*.

Zofia zapewniła, że zna rosyjski i mogą mówić w tym języku, co uradowało Helenę. Jej twarz pojaśniała. Tymczasem pies nie chciał siedzieć na kolanach księżnej i próbując się wyrwać z objęć swojej pani, zmoczył jej suknię.

— Ty niesforny małpiszonie! — Helena rzuciła po francusku, próbując się uśmiechać, choć najchętniej zadusiłaby Katinkę własnymi rękami. Przed owym okrucieństwem powstrzymywała ją jedynie złota obroża zdobiąca psią szyję, a na niej wygrawerowany po francusku napis: „Katarzyna Aleksiejewna Helenie Radziwiłłowej w dowód przyjaźni”.

— Pani wie, że to prezent od imperatorowej? — spytała księżna, gładząc psią sierść.

— Wyjątkowy podarunek — przyznała generałowa.

— O tak, wszystko, co pochodzi od carycy, jest wyjątkowe — pochwaliła. — À propos, jak ma się najjaśniejsza imperatorowa?

— Bardzo dobrze — zapewniła pani Witt, starając się skryć w tonie kłamstwo, gdyż prawda wyglądała inaczej. Caryca starzała się szybko i każdy rok mocno odznaczał się na jej twarzy, do tego się roztyła. Nic nie pozostało z jej dawnego uroku, którym kiedyś czarowała mężczyzn, a oni nie bez przyjemności wchodzili do jej sypialni. Teraz młodzi i przystojni adiutanci niechętnie udawali się do Małego Ermitażu, żeby swoim towarzystwem zabawiać zwiędłą carycę. Poza tym siedzenie przy jednym stole z imperatorem i jej faworytem Płatonem Zubowem było niebezpieczne. Wystarczyło podnieść na niego wzrok, w którym, nie daj Boże, zadrgała jakaś iskra, albo nawet blado uśmiechnąć się do niego, by wydać na siebie wyrok. W tak śmiałej kobiecie Katarzyna od razu widziała rywalkę do serca kochanka. I wystarczyło że on, sam Płaton, szepnął słówko imperatorowej, by ktoś mógł popaść w jej niełaskę. Któż teraz gotów byłby bronić Zofii pozbawionej swojego wszechpotężnego opiekuna, księcia Potiomkina, przed którym respekt czuła sama imperatorowa?

— Długo pani zabawi w Warszawie? — Księżna Radziwiłłowa wytrąciła gościa z rozmyślań.

— Zatrzymam się tutaj jakiś czas, zapewne do lata — odparła generałowa.

— Cudownie! A czy miała pani już okazję być na re-dutach?

— Nie, księżno.

— W takim razie musi to pani szybko nadrobić, droga pani Witt. Taki dziś piękny dzień. Co by pani powiedziała na kulig? Pojedziemy do kawiarni? Nie może mi pani odmówić.

— Nie odmówię — odparła Zofia z uśmiechem.

— W takim razie jutro, w samo południe. Pozna pani moją córkę Christine, a także Marię Antonownę Naryszkinę, żonę rosyjskiego oficera. Hrabia Naryszkin stacjonuje teraz na Podolu pod generałem Kretecznikowem, a Marina zimę spędza w Warszawie u swojego ojca, księcia Czetwertyńskiego. Przemiła osoba. Żałuję, że nie zobaczy się pani z moim mężem, gdyż z młodszymi dziećmi jest na Litwie, lecz spodziewam się, że jeszcze nadarzy się ku temu okazja.

Naraz ze schodów doszły kroki, więc obie damy tam skierowały uwagę.

— Mój młodszy syn, Antoni... Przed Bożym Narodzeniem przybył z Getyngi.

Gdy książę skłonił głowę przed Zofią, Radziwiłłowa zaproponowała:

— Antoni, może zagrasz nam coś wesołego? Mój syn wspaniale gra na wiolonczeli, a nauki pobierał u samego mistrza Beethovena, z którym się przyjaźni. Zagraj nam, proszę, kochany.

— Z wielką chęcią, lecz nie teraz, mam — odparł i wbił przenikliwe spojrzenie w piękną generałową. Jeszcze raz jej się uklonił i powiedział jakieś zdawkowe słowo, że to zaszczyt poznać tak uroczą damę. Potem podszedł do matki i ująwszy jej dłoń, pocałował ją. — Niech mama wybaczy, ale spieszę się — powiedział.

— A to dokąd? Jeszcze wcześniej, porządni ludzie o tej porze siedzą w domu — odparła po francusku i w tym języku prowadzili dalszą rozmowę.

— Mam sprawę na mieście.

— Mam nadzieję, że to nie karty, mój drogi — uśmiechnęła się kwaśno.